

WSPOMNIENIA O PRACY ZAWODOWEJ ANNY STYCH

Wspomnienia piszę mając 86 lat. Ze względu na podeszły wiek nie będą one literacko doskonałe. Urodziłam się bowiem 26.07. 1932 r. w Zręcinie pow. Krosno.

W dzieciństwie umarli moi rodzice. Mnie wzięli do siebie dziadkowie (przyrodnia babcia), natomiast rodzeństwo – 2 siostry zabrali obcy ludzie. Bardzo tęskniłam za rodzicami.

Dziadkowie mieszkali w krytej strzechą drewnianej chałupie. Mieszkanie było urządzone według ówczesnej mody. Mieszkańcami byli sami dorośli : dziadkowie , przyrodni wujkowie i ciotka. Rówieśników wśród najbliższych nie miałam, więc między dorosłymi upływało moje młode życie.

W 1940 roku zaczęłam uczęszczać do szkoły, w której uczyłam się do 12 roku życia. Nauka odbywała się w ciemnej izbie wiejskiej chaty. Właściwą, murowaną szkołę zajęło gestapo. Przez 4 lata okupacji uczyła mnie jedna nauczycielka. Zapamiętałam ją, bo często kręciła loki na lekcji i wychodziła z izby lekcyjnej w czasie zajęć. Jedynym środkiem dydaktycznym była kreda i tablica a wychowawczym linia służąca do zadawania bólu i upokorzeń. Nie mam do tej kobiety żalu, nawet ją rozumiem, gdyż żyła w ciągłym strachu i obawie o życie własne i kilkuletniego syna. Gdybym później nie spotkała na swej drodze dobrych i prawych nauczycieli pozostałyby mi przykre wspomnienia o szkole i nauczycielach.

W wieku 10-ciu lat przystąpiłam w miejscowym kościele do I Komunii Świętej. W tych latach ciężko było skompletować strój pierwszo-komunijny. Do komunii szłam więc w ubraniu pożyczonym od bliskich znajomych. Po lilijkę poszłam do sąsiedniej wioski, ale byłam z niej dumna i szczęśliwa, bo była piękna, atlasowa , poźółkła i pochodziła jeszcze sprzed I wojny światowej, takiej nie miał nikt. Na uroczystości tej nie było moich rodziców chrzestnych ani rodzeństwa. Z tego powodu było mi bardzo smutno. Na drugi dzień z wielkim żalem oddawałam pożyczone stroje, którymi tak krótko się cieszyłam.

Późnym latem 1944 r. zbliżał się u nas koniec wojny. Czułam grozę i strach. I nadszedł czas strasznej walki, strzelaniny i wybuchów, ucieczka wojska niemieckiego i natarcie armii radzieckiej. Nad domami przelatywały bombowce, obok przejeżdżały ciężkie, naładowane rakietami katiusze i armaty, a na ziemi leżały ludzkie i zwierzęce ciała. Podczas jednego z nalotów samolotów radzieckich zginął od kuli karabinu maszynowego mój dziadek. Nie płakałam, nie przeżywałam jego śmierci i mało pamiętam ten czas od zgonu do pogrzebu, może dlatego, że dziadek choć najbliższa osoba, a tak mi wtedy była obojętna. Przykre to jest i smutne.

Od 1 września rozpoczął się nowy rok szkolny. Moi rówieśnicy poszli do szkoły a ja jak zwykle z krowami na pastwisko. W przypiływie smutku z tego powodu a bardzo pragnęłam się uczyć, prosiłam przyrodnią babcię:

- Babciu ja chcę iść do szkoły...

- Jesteś sierotą i do szkoły nie będziesz chodzić – odrzekła - podpisać się umiesz a nauczycielką i tak nie będziesz (jakże się pomyliła), będziesz pracować w gospodarstwie po rodzicach.

Ciągle myślałam o nauce i w takim rozdarciu duszy opuściłam dom dziadków i udałam się do Krosna, słyszałam bowiem, że rodzina nauczycielska poszukuje opiekunki do dzieci . Tak skończył się pierwszy okres w moim życiu. Tutaj byłam lubiana i traktowana jak członek rodziny. Chłopcy, którymi się opiekowałam, z miejsca mnie polubili. Pod względem intelektualnym i wychowawczym byłam zaniedbana. Rażąco ubogie słownictwo zwróciło uwagę rodziców chłopców. I ten fakt był powodem „edukowania” mnie. Poznawałam świat poprzez język kolorowych bajeczek czytanych chłopcom. „Koziołka Matołka” szybko nauczyłam się na pamięć. Dzięki tym bajkom opanowałam technikę czytania. Po pewnym czasie zainteresowały mnie czytanki z podręcznika 5-cio klasisty i wypracowania bardzo dobrze oceniane przez moją panią. Lubiłam czytać poprawiane z oceną bardzo dobrą wypracowania, bo uczyły mnie poprawnego wyrażania się w piśmie, a przede wszystkim pisowni wyrazów pod względem ortografii. Obcowanie z ludźmi na pewnym poziomie wpłynęło pozytywnie na mój rozwój osobowy. Moi chlebodawcy, aby uniknąć płacenia ZUS-u, zapisali mnie na roczny kurs ukończenia szkoły podstawowej Takim sposobem po sześcioletniej przerwie w nauce i ukończeniu 4 klas okupacyjnych, znalazłam się na kursie ukończenia szkoły podstawowej. Tak więc podstawowe wykształcenie zawdzięczam mojej „pani”, która otworzyła mi okno na świat i okazała dużo serdeczności i cierpliwości w przygotowaniu mnie do egzaminu końcowego, który zdałam w 1950 r. Smak wiedzy pchnął mnie do dalszych poszukiwań i kształcenia. Moi następni pracodawcy u których byłam jako niania do dzieci, to profesorowie (poloniści) szkół średnich, widząc moje pragnienie na dalsze kształcenie wyrazili na to zgodę. Podjęłam naukę w wieczorowym liceum ogólnokształcącym dla pracujących, w którym skończyłam 9 klas. Po likwidacji wieczorówki i ukończeniu tzw. „małej matury” chciałam się dalej kształcić. Złożyłam więc dokumenty do liceum wychowawczyń przedszkoli w Jarosławiu, gdzie otwarto klasę dla dziewcząt z przekroczonym wiekiem szkolnym (16 – 25 lat). Zostałam przyjęta do szkoły i internatu. Opanowała mnie euforia i radość. Tę radość trudno opisać. W wakacje, aby zarobić sobie na zakup niezbędnych rzeczy do szkoły, zatrudniłam się w charakterze kelnerki na kursie na

kursie nauczycieli matematyków. Lubiłam tę pracę, bo dawała mi satysfakcję. Czułam się ważna i potrzebna. Po wakacjach, wyjeżdżając do Jarosławia, byłam serdecznie żegnana i odprowadzana przez chłopców, którymi się opiekowałam. Nauka w Państwowym Liceum Wychowawczyń Przedszkoli i pobyt w internacie to najszcześniejszy okres mojej młodości. Znalazłam się wśród młodzieży szkolnej.

Internat, w którym mieszkałam, był to stary klasztor odebrany przez władze PRL siostron Niepokalankom na cele użytku publicznego. Grube, ciężkie mury, ciemne korytarze, małe okna i olbrzymi gong w bramie wejściowej sprawiały wrażenie tajemniczej, starej budowli. Tylko jedno skrzydło klasztoru pozostawiono siostron. W klasztornej części znajdowała się pięknie utrzymana kaplica, gdzie razem z innymi modliłam się, dziękując Matce Bożej za wysłuchanie moich prośb. W dużej auli królował fortepian a uzdolnione muzycznie uczennice grały na nim i cała sala rozbrzmiewała modnymi wówczas przebojami.

Już w pierwszych tygodniach nauki zwróciłam na siebie uwagę uczących. Uważnie słuchałam profesorów i brałam czynny udział w lekcjach. Ponadto dbałam o staranny wygląd. Za wzorowe zachowanie i dobre wyniki w nauce byłam wyróżniana, wyczytywana na apelach jako wzorowa uczennica. a czasem typowana do nagród (głównie w postaci odzieży i obuwia). Miałam też przyznane pełne stypendium dzięki któremu mieszkałam w internacie i uczyłam się. Mimo tylu życzliwych mi koleżanek i wychowawców tutaj też czasami dopadała mnie chandra. Brakowało mi rodziców i rodzeństwa, szczególnie wtedy, kiedy z okazji uroczystości szkolnych i wywiadówek do mnie nigdy nikt nie przyjeżdżał i nikt o mnie nie pytał, ale dzięki przyjaznemu nastawieniu szkoły i koleżanek szybko wracałam do równowagi psychicznej.

Aby zarobić na potrzebne wydatki, w wakacje prowadziłam dzieciniec a w ferie zimowe i letnie praktyki w przedszkolach. Szczególnie miło wspominałam praktykę wiosenną w biednym przedszkolu wiejskim w wiosce Skołoszyn koło Gorlic. Do szkoły przyjechałam szczęśliwa z bardzo dobrą opinią kierowniczką przedszkola.

Egzamin ukończenia liceum zdałam z wyróżnieniem i otrzymałam skierowanie do pracy w Zielonej Górze. Jazda pociągiem z Krosna z trzema przesiadkami trwała przeszło dobę. Tamtejsze kuratorium skierowało mnie do Żagania. Na miejsce przyjechałyśmy z czterema koleżankami po północy następnego dnia. Nie będę opisywać tułaczki i stresu, jaki przeszłam, zanim otrzymałam marne lokum (siennik wypchany słomą leżący na podłodze, bez poduszki). Nocleg poprzedziła całonocna płatanina po zniszczonym wojną i przez szabrowników mieście.

Żagań, przygraniczne z Niemcami miasto, było ładnie położone nad rzeką Bobrem. Ozdobą grodu były zabytki oraz ciekawie położony w rozległym parku barokowy pałac. Żagań był ważnym i dużym węzłem kolejowym (stacja miała 5 peronów). Miasto pełne było koszar, w których stacjonowały polskie i radzieckie jednostki wojskowe, przeważnie pancerne i lotnictwo w pobliżu Starej Koperni. Kanonada dochodząca z poligonów, zapach prochu i świst przelatujących odrzutowców przypominały mi wojnę i budziły strach.

Po dwóch tygodniach otrzymałam pracę w dużym, prestiżowym przedszkolu nr 1. Gdy weszłam do Sali, runęła na mnie 40- osobowa grupa sześciolatków. W przedszkolu pracowałam 3 tygodnie, ale byłam zadowolona, bo miałam na miejscu mieszkanie i utrzymanie. Ku mojemu zdumieniu niespodziewanie otrzymałam propozycję pracy w charakterze nauczycielki klas młodszych, którą przyjął bez zastanowienia. Kierownik Wydziału Oświaty E. Bora polecił mi zorganizować 2 -klasową szkołę w dzielnicy Kolonia Laski oddalonej 3 km od miasta. Miała to być filia szkoły nr 6 w Żaganiu.

Kolonia Laski (Forst kolonia – (niemieckiej nazwy często używano) była położona wśród lasów i składała się z kilku ulic. Na jej obrzeżu płynęła wśród łąk rzeczka Czarna. Część domów to jednolite budowle wznoszone przez Hitlera dla kolejarzy. Obok Niemcy zlokalizowali 2 obozy jenieckie: Stalag VIII C i Luft IV. Ten ostatni zastraszony z brawurowej ucieczki tunelem Harry 70 alianckich lotników. Złapani prawie wszyscy (z wyjątkiem 2) zostali w większości na osobisty rozkaz Hitlera rozstrzelani. Obecnie mieści się tutaj ciekawe muzeum z rekonstrukcją baraku i tunelu. Ciszę mieszkańcom zakłócały przejeżdżające obok z koszar na poligon czołgi i pociągi.

Dzielnica nie posiadała dotychczas szkoły a dzieci uczęszczały do szkół żagańskich. Przy znacznej odległości dla dzieci młodszych klas było to uciążliwe. Mieszkańcy czynili więc starania o własną szkołę. Placówkę zorganizowano w wynajętej w bloku dostosowanej do nauczania izbie. Całe jej wyposażenie stanowiły stare ławki, tablica i kreda. W takich warunkach rozpoczęłam nauczanie sześćdziesiąt 7- i 8 i 9- cioletnich. Były to dzieci przesiedleńców z za Buga oraz biedoty z Poznańskiego i Polski centralnej, którzy przybyli na tzw. Ziemię Odzyskaną. Pozostało też kilka rodzin autochtonów przeważnie z małżeństw mieszanych. Rodzice za marne pensje pracowali przeważnie na kolei, a niektórzy byli analfabetami (repatrianci). Prawie w każdej rodzinie było po kilkoro dzieci. Przyznam, że mimo nadludzkich wysiłków, biedy a nawet głodu polubiłam uczniów, bo warci byli mojego zainteresowania i poświęcenia.

Początkowo nie posiadałam własnego mieszkania. Mieszkałam kątem przy kilku rodzinach. Nie były to warunki luksusowe np w nie ocieplonym poddaszu okrutnie marzłam.

Najbardziej odczuwałam brak pieca, opału i kuchenki, na której można byłoby przyrządzić ciepły posiłek. Często więc głodowałam. Od czasu do czasu udawałam się do centrum, by w barze zjeść ciepły posiłek. Mieszkając wśród obcych nie miałam wsparcia nikąd, byłam zagubiona. Dopiero po kilku latach doczekałam się przyzwoitszego mieszkania.

Nabierając doświadczeń, pracowałam z pełnym zaangażowaniem. Lekcje urozmaicałam, starałam się prowadzić ciekawie, często w plenerze. Do dziś pamiętam uśmiechnięte buzie tych moich pierwszych, ciekawych wszystkiego uczniów. Wspólnie, przy pomocy rodziców, wykonywaliśmy potrzebne pomoce naukowe, tutaj przydatne były moje zdobyte w liceum umiejętności. Będąc niewykwalifikowaną nauczycielką, popełniałam liczne błędy dydaktyczno-wychowawcze, które utkwiły mi w pamięci i z tego powodu czuję czasami w chwilach zadumy dyskomfort psychiczny. Trzeba przyznać, że od kierowniczkii macierzystej szkoły nie otrzymałam wsparcia, ani raz mnie nie odwiedziła. Pomocy szukałam u starszych nauczycielek z innych szkół. Kierowana też byłam przez Ośrodek Metodyczny na lekcje pokazowe do wiodących szkół. Obok zajęć lekcyjnych w ramach dodatkowej pracy uczyłam dzieci tańców ludowych: krakowiaka, mazura, kujawiaka. Z braku instrumentu muzycznego dzieci tańczyły w takt powtarzanej głoski la-la-la.. Przygotowane tańce, piosenki i inscenizacje prezentowałam w czasie uroczystości z różnych okazji. Występy cieszyły się dużym zainteresowaniem i uznaniem rodziców i zaproszonych gości.

W pierwszym roku pracy dostałam polecenie uzupełnienia kwalifikacji dających uprawnienie do nauczania w szkole podstawowej. Podjęłam więc naukę w zaocznym Liceum Pedagogicznym w Nowej Soli. W nauce radziłam sobie nieźle, pewne trudności sprawiała mi tylko matematyka (brak podstaw ze szkoły podstawowej i średniej), z którą nie mogłam się uporać; musiałam brać korepetycje. Dzień otrzymania świadectwa dojrzałości Liceum Pedagogicznego w 1958 r. był ukoronowaniem włożonego trudu.

Tymczasem szkoła się rozrastała, przybywało dzieci i nauczycieli. W następnym roku było już 4 klasy i 2 nauczycieli. Zmieniały się też budynki. Po pewnym czasie szkoła doczekała się własnego, samodzielnego budynku i dużego placu na ogród i boiska. Można było pomyśleć o urządzeniach do wf. Izby lekcyjne były coraz lepiej wyposażone. Szkoła została przekształcona w ośmioklasową. Mimo zagospodarowania każdego skrawka powierzchni w budynku panowała ciasnota, trzeba było wynajmować dodatkowe izby. Zapadła więc decyzja budowy nowego, obszernego budynku. W 1964 r. zaczęto go wznosić. W ciągu roku był gotowy do odbioru. Miał on przestronne, jasne sale, pracownie, szerokie

korytarze i pełne zaplecze sanitarne z kuchnią i kotłownią. Elewacja budynku w jasnych kolorach to dopełnienie całości. Przystąpiliśmy do urządzania wnętrza, organizowania pracowni. Na dużym placu obok szkoły przy pomocy uczniów, rodziców i zakładu opiekuńczego zostały urządzone boiska, tor łyżwiarski, ogródek geograficzny i przyrodniczy. Całość prezentowała się estetycznie i ciekawie. Toteż placówka zajęła I miejsce w województwie zielonogórskim w organizowanym przez kuratorium konkursie na najładniejszą i najlepiej urządzonego szkołę (w grupie szkół podstawowych). Jej zagospodarowanie było zasługą całego grona a szczególnie dyrektora-mojego męża Zbigniewa. W nagrodę cały personel wyjechał na 2 tygodniową wycieczkę na Węgry.

W 1959 r. wysłałam za męża za kierownika „mojej” szkoły Zbigniewa Stycha, który po odbyciu służby wojskowej (oficer rezerwy) objął placówkę. Potem przyszła pora oczekiwania na narodziny dziecka i niepewność co do rozwiązania i zdrowia przyszłego maleństwa. Po urodzeniu ślicznej i zdrowej Dorotki byłam bardzo szczęśliwa. Po 3 latach przyszła na świat druga dziewczynka. Obowiązków rodzinnych związanych z pracą i wychowaniem dzieci przybywało. Mąż obciążony obowiązkami służbowymi, doksztalaniem „pobytami” na ćwiczeniach wojskowych nie zawsze miał czas na poświęcenie się swoim „dziewczynkom”.

Oprócz nauczania w klasach I-IV co raz częściej z braku polonisty uczyłam języka polskiego. Podjęłam więc kosztem rodziny naukę w Studium Nauczycielskim w Zielonej Górze na kierunku filologia polska. W grupie mojej były studentki, które z różnych powodów wyższe studia przerwały, więc miałam małe szanse im dorównać. Wykładowcami natomiast byli absolwenci poznańskich uczelni, wymagający rozległej wiedzy. Do egzaminów przygotowywałam się przeważnie nocą, kiedy rodzina spała. W dzień, z powodu obowiązków wobec rodziny, pracy zawodowej i wystawiania w kolejkach po produkty żywnościowe, nie mogłam pozwolić sobie na naukę. Jednak nadludzki wysiłek, upór w dążeniu do celu i ciężka praca sprawiły, że studium nauczycielskie ukończyłam w 1968 r. W związku planowaną wyprawą do Tarnowa dyplom taki był niezbędny.

Budowaliśmy tutaj wspólnie z rodziną dom. Budowa pochłaniała dużo środków finansowych i wkładu pracy rąk. Kilka wakacji poświęciliśmy na załatwianie formalności, zakup materiałów budowlanych i prace na budowie. W wakacje 1972 r. przeprowadziliśmy się do Tarnowa, gdzie mieszkamy do dziś.

Można by dużo więcej pisać o latach dzieciństwa, młodości i naszym pobycie w Żaganiu, o naszych córkach, które otrzymywały bardzo dobre oceny i nie sprawiały problemów wychowawczych. Jednak mimo tylu trudów, wielu przeżyć, przyjemnych i smutnych, te 18 lat życia w Żaganiu uważam za szczęśliwe i spełnione.

Od nowego roku szkolnego podjęłam pracę nauczycielki języka polskiego w szkole nr 10 w Tarnowie -Klikowej, a mąż został dyrektorem Szkoły Podstawowej w Niedomicach. Tutaj otrzymałam czterdziesto-osobowe klasy, z którymi sobie dość dobrze radziłam, tak pod względem dydaktycznym jak i wychowawczym. W nauczaniu starałam się stosować aktywizujące metody pracy zgodnie z ówczesnym systemem dydaktycznym. Przez to osiągałam dobre wyniki. Dowodem tego była bardzo wysoka zdawalność na egzaminach do różnych szkół średnich. W ocenie spotykanych byłych uczniów mam opinię wymagającego, ale sprawiedliwego nauczyciela. Oprócz lekcji prowadziłam zajęcia pozalekcyjne. Za efekty w nauczaniu zostałam wysoko oceniona przez zespół wizytujący szkołę w 1975 r. Biorąc pod uwagę moje osiągnięcia, wytypowano mnie do nagrody ministra oświaty i wychowania II stopnia którą otrzymałam.

Ponadto udzielałam się w pracach dodatkowych. Przez długie lata byłam opiekunem szkolnego koła PCK. Koło prowadziło szeroką działalność na terenie szkoły i środowiska za co otrzymało liczne nagrody w postaci sprzętu medycznego (nosze, środki opatrunkowe i odkażające do apteczki szkolnej), dyplomów, odznak a także wyjazdów na obóz szkoleniowo-wypoczynkowy. Byłam też członkiem władz wojewódzkich PCK i konsultantem do współpracy z opiekunami szkolnych kół PCK. Za całokształt kilkudziesięcioletniej działalności pecekowej zostałam wyróżniona licznymi dyplomami, wyróżnieniami oraz honorową odznaką PCK.

Od początku pracy zawodowej należałam też nieprzerwanie do ZNP. Szczególnie dużo uwagi poświęciłam na działalność związkową, będąc na emeryturze (20 lat). Przez 3 kadencje byłam członkiem zarządu Sekcji Emerytów i Rencistów. Z okazji 100 rocznicy powstania związku zostałam odznaczona Złotą Odznaką ZNP, którą wręczył mi prezes zarządu głównego Sławomir Broniarz.

I tak pokrótce przedstawia się moja kariera zawodowa. Ta wymarzona praca dawała mi satysfakcję, radość i spełnienie.

Anna Stepk